



ANNA KARNICKA

PARADOKS
MARIONETKI

SPRAWA
ZEGARMISTRZA

*Dla Ady i Sonii za wieloletnie i nieocenione wsparcie,
bez którego ta książka by nie powstała
(teraz będziecie musiały to przeczytać, ponieważ presja).*

*Dla Michała i nieformalnej grupy literackiej Leniwa
Biedronka za dużo wspólnie postawionych literek.*

SPIS TREŚCI

Pieśń Obrzeży	4
Adepci	15
Wyjątkowo deszczowy wrzesień	32
Atramentowy smok	48
Prezent	62
Złota Uliczka	78
Płomień	93
Transformacje	101
Freddie	110
Kobold	123
Taniec Łalkarzy	139
Tancerze tańczą	151
Zimowa opowieść	161
Gdy przestaną bić zegary	173
Darmodziej	187
Golem	198
Chochlik	212
Życzenia noworoczne	217
Pan Pieśni	232
Mistrz Marionetek	250
Młoda	260

PIEŚŃ OBRZEŻY

Kobieta śpiewała. Jej mocny, głęboki głos niósł się po korytarzach stacji Mústek. Stała w przejściu między peronami, całkowicie ignorowana przez tłum zmierzających do wyjścia przechodniów. Nie widzieli jej, Martin jednak dostrzegł ją od razu. Twarz zasłaniała jej biała maska zakończona ptasim dziobem, a długie włosy przyozdobiła wieńcem z czerwonych bluszczowych liści. Przyspieszył kroku, by uciec jak najdalej od tego śpiewu. Od melodii, która zdawała się pochodzić z samego serca Drugiej Strony.

Bezskutecznie. Śpiew ścigał go, wdzierał się do uszu i serca, nadawał rytm krokom.

Nagle Martin zamarł. Był pewien, że już dawno wyminął śpiewaczkę, kiedy jednak podniósł wzrok, stała tuż przed nim. Nawet jeśli wcześniej miał jakiegokolwiek wątpliwości, teraz był już pewien.

Demon.

Istota musiała pochodzić z drugiej strony, jak inaczej mogłaby się przemieścić tak szybko? Zaczęła do niego mówić, dokładnie w momencie gdy przechodził obok. Wcześniej jej słowa były obce, nonsensowne, pozbawio-

ne znaczenia. Kiedy jednak spojrzał jej prosto w oczy, zaczął rozumieć. Każde słowo.

– Spójrz na moją piękną koronę z liści i weź mnie za rękę, Podpalaczu Drzew – zaśpiewała, wyciągając do niego dłoń zakończoną długimi szponami. – Chodź ze mną. Zabiorę cię w bezpieczne miejsce, nikt nas już nigdy nie znajdzie. Chodź, możesz jeszcze uciec, możesz teraz odejść wraz ze mną.

– Nie – wyszeptał. Stał w podziemnym korytarzu, patrząc na zjawę. Przechodnie potrącali go, mrucząc coś, żeby się przesunął. – Nie pójde z tobą. Nie ma mowy.

– Pójdiesz prędzej czy później, Podpalaczu Drzew. – W jej pieśni pojawiły się fałszywe nuty. – Przyjdiesz do mnie, gdy już podpalisz cały świat. Przyjdiesz, bo nic innego ci nie zostanie. Nie lepiej już teraz? Po co czekać? To wszystko i tak wkrótce zapłonie... Już to widzę! – Zaśmiała się i nagle zaczęła śpiewać na znajomą Martinowi nutę. Pieśń o ogniu, którą w czasie wakacji usłyszał od Aislinga. – Skradający się niepostrzeżenie, podpalający korony drzew. Widzę ogień w powietrzu, w słońcu odbijającym się w szybach, powietrze jest przesycone dymem. Wszystko tutaj będzie płonąć. Wszystko! Zegary staną, budynki obrócą się w proch. Wszystko zajmie się od jednej iskry – oświadczyła, zniżając głos do szeptu. – Ale to ty będziesz tym, który skrzese iskrę. To ty rozpoczniesz taniec płomieni, więc może... Może zatańczymy już teraz?

– Z-zamknij się! – wykrztusił Martin. Rozejrzał się wokół, by się upewnić, że nikt inny nie słucha. Jednak najwyraźniej wciąż był jedyną osobą zwracającą uwagę

na śpiewaczkę. Dotarło do niego, że znów przestaje ją rozumieć. Słowa traciły sens, były coraz bardziej obce i odległe. No tak, zerwał kontakt wzrokowy. To wystarczyło, by wyrwać się spod jej uroku. Dziwny, pozbawiony słów śpiew towarzyszył mu aż do wyjścia z metra. Umilkł dopiero zagłuszony ulicznym szumem.

<MartinL> Jesteś koleżanką Klary Berg?

<Roti> Zależy.

<MartinL> Zależy od czego?

<Roti> Od tego, kto pyta.

<MartinL> Jestem przyjacielem Klary. Skontaktowałem się z tobą, bo...

<Roti>?

<MartinL> Klara nie żyje. Została zamordowana.

<Roti> Rękopisy nie płoną. Bułhakow tak powiedział.

<MartinL> Co ma jedno do drugiego?

<Roti> Nie zadawaj głupich pytań.

<MartinL> Słuchaj, to naprawdę ważne. Spotkaj się ze mną albo chociaż zadzwoń. Tu masz mojego maila i numer.

<Roti> ...

<użytkownik Roti wylogował się>

– Hej, poczekaj – krzyknął Martin. – Wróc tu jeszcze. Odpisz mi. Porozmawiaj ze mną. Proszę! No cholera!

– Jeśli chcesz wyrwać łaskę w Internecie, musisz się trochę bardziej postarać. – Inga z ciekawością zajrzała mu przez ramię.

– Ej, nieładnie jest czytać cudze wiadomości! – Szybko zamknął laptopa.

– Czy mi się wydaje, czy bez twojej małej asystentki dochodzenie stanęło w martwym punkcie? – Nawet nie starała się ukryć złośliwej satysfakcji. Nie mógł zaprzeczyć – tajemnicza Roti była pierwszą osobą – jedną z wielu z listy kontaktów ściągniętej z komputera Klary – która odpowiedziała na jego wiadomość. Zanosiło się jednak na to, że i ją mógł spisać na straty. Miał tylko nadzieję, że śledztwo idzie Canelle o wiele lepiej niż jemu.

– Inga: specjalistka od zagadywania ludzi w Internecie – zakpił Greem, stając w drzwiach kuchni. Podobnie jak Martin i Inga miał na sobie czarne spodnie i szarą bluzę z kapturem. Strój manipulatora czynił go jeszcze wyższym i chudszy. Jasne włosy sterczały mu nieskładnie na wszystkie strony.

Dziewczyna obdarzyła go wyjątkowo lodowatym spojrzeniem.

– Założę się, że nie potrafiłabyś nawet tego z powrotem włączyć – ciągnął Greem, wskazując na zamknięty laptop.

– I nawet bez tego byłabym bardziej skuteczna niż on. Mówiłam ci, że tak będzie. Przecież to na nic, musimy...

– Martin, jesteś gotowy? – zapytał Walt, który wszedł do kuchni zaraz za Greemem. Również miał na sobie szkolny uniform. – Musimy iść na rozpoczęcie roku.

– Już, już. – Martin wsunął laptopa do torby. – Tylko odniosę to do pokoju – zdecydował, upijając po drodze łyk chłodnej już herbaty. – A wy? – zwrócił się do pozostałych. – Idziecie?

Inga przełożyła gruby czarny warkocz przez ramię.

– Ja i Greem – popatrzyła znacząco na dziedzica alchemików – musimy pogadać. Wy idźcie.

– Dołączymy do was później – dodał z rezygnacją chłopak.

Walter pokiwał głową w sposób, który obudził w Martinie dziwne przeczucie, że cała trójka wie coś, o czym on sam nie miał pojęcia.

– Co knujecie? – zagadnął, kiedy schodzili po schodach wyłożonych nieco wytartym, czerwonym dywanem. Klatka schodowa na niższych kondygnacjach budynku była odnowiona, a ściany pomalowano na biało. Tylko poręcze pozostały bez zmian: drewniane i misternie rzeźbione.

– Knujemy? – Walt zmarszczył brwi. Błada cera i cienie pod oczami mówiły same za siebie: tej nocy też nie przespał nawet kilku minut. Od śmierci Ely bardzo mało sypiał.

– Ty, Inga i Greem. Nie myśl, że nie widzę. Czy to ma coś wspólnego z... – W porę powstrzymał się, żeby nie wspomnieć o wakacyjnych spotkaniach. O planach obalenia Kolegium. O spisku. Nie wspomnieli o tym ani razu od śmierci dzikiej księżniczki i zniknięcia Canelle, ale nie wierzył, że tak po prostu porzucili temat. Nie wierzył, że zapomnieli.

– Martin... – Księżę popatrzył na niego zmęczony. – Nie mam pojęcia, co kombinują Greem i Inga i nie chcę się w to mieszać. Nie mam siły – przyznał. Poprawił zsuwający się z ramienia pasek torby, przy okazji przypadkiem odsłaniając przesiąknięty krwią bandaż na dłoni. – Zresztą... Pamiętaj, że zaczyna się rok akademicki, a oni są w jednej grupie.

– No i?

– Greem jest jej konkurentem do tytułu Mistrza Marionetek – wyjaśnił książkę, spoglądając w ślad za dziewczynami, które właśnie wyminęły ich na schodach.

– W wakacje mogła się z nim kumplować, ale w Kolegium to co innego. Co prawda Greem nie ma jakiegoś straszego ciśnienia na to, żeby koniecznie zdobyć tytuł, niemniej... Może nie zauważyłeś, ale ona podchodzi do rywalizacji bardzo poważnie.

Martin musiał przyznać mu rację. Z tego co zdążył zauważyć do tej pory, Inga należała do osób, które po długich namowach godzą się na grę w chowanego, a później ścigają uczestników na drugim końcu świata.

– Wiesz, skąd to się bierze? – zapytał.

Walt wzruszył ramionami.

– Szkoła przygotowawcza – odparł z rezygnacją. – Była pod wpływem Kolegium dłużej niż ja i Greem, trochę bardziej przesiąkła. Oni są tam wszyscy tacy narwani.

Martin zmarszczył brwi. Ciekawe, jak bycie pod wpływem Kolegium ma się do udziału Ingi w spisku? Angażowała się, dość otwarcie okazywała sprzeciw wobec polityki uczelni. Na ile to było szczerze?

– W naszej grupie chyba nie ma zbyt wielu osób z przygotowawczej, prawda? Podróżny coś wspominał.

– Tak czy inaczej ktoś będzie – przyznał Walter. – Zawsze ktoś jest. Nie liczyłbym na nawiązanie zbyt zażyłej przyjaźni – dodał. – Greem mówił, że oni raczej trzymają się razem i nie mieszają się z tymi z zewnątrz. Byłeś wczoraj w sklepie? – zapytał, kiedy wyszli na dziedziniec. Z gęstych chmur siąpił zimny deszcz.

Jak zdążył zauważyć Martin, umiejscowienie uczelni dla adeptów manipulacji w budynku, po którego dziedzińcu ciągle ktoś się kręcił, miało istotną wartość edukacyjną. Już od pierwszego dnia musieli robić wszystko, by nie zwracać na siebie uwagi i nie przyciągać zbyt wielu spojrzeń. Martin wypracował dwie metody radzenia sobie z pracownikami ekipy remontowej: „bardzo zajęty pracownik obiektu” oraz „zabłąkany turysta, niemający pojęcia, że nie wolno”. Teraz zdecydował się na drugą opcję. Widząc nieprzychylnie spojrzenia panów w pomarańczowych kamizelkach, wyszedł razem z Walterem na ulicę Karlovą.

– Tak, zająłem do sklepu, bo i tak musiałem coś załatwić w okolicy – odpowiedział na zadane wcześniej pytanie. – Jest zamknięty, pani Althan nadal nie ma.

– Pewnie wciąż szuka.

– Byłem też w herbaciarni – ciągnął Martin. W zmęczonych, odległych oczach Waltera pojawił się błysk zainteresowania.

– I co?

– Cathy jest zła. – Westchnął. Ruszyli w stronę mostu. Główne wejście do kaplicy znajdowało się za rogiem, wystarczyło skręcić. – W ogóle nie chciała ze mną gadać. Wiem tylko, że Widmokot wciąż nie wrócił – powiedział. Podobno tajemniczy koci demon też przyłączył się do poszukiwań Canelle i od tamtej pory nikt go nie widział. – To zły znak, prawda?

– Trudno powiedzieć – odrzekł Walt. – Widmokot to esencja bycia kotem, chadza swoimi drogami. Może jedno z drugim nie ma nic wspólnego.

– Oby. Jest coś jeszcze – dodał Martin. Opowiedział o dziwnej śpiewaczce w metrze.

Walter tylko westchnął i spuścił głowę.

– Jesienny demon. Zwichrowana dusza. Też jednego ostatnio spotkałem. A będzie ich coraz więcej. Jesień to ich pora roku, chętnie się wtedy pojawiają. Przyciągają ludzi, zabierają ich ze sobą do swojego schronienia po drugiej stronie i już nie wypuszczają.

– Ale czy... Czy one zawsze tak sobie biegają po ulicach? – dopytywał Martin. – Nikt z tym nic nie robi?

– Teoretycznie to działka Kolegium, ale różnie z tym bywa. Zazwyczaj są dość nieszkodliwe, więc dają im spokój. Najgorsze, co taki robi, to stanie na rogu i będzie wabił swoją pieśnią. Znajdzie ofiarę, to zabierze ją ze sobą i więcej nie wróci.

– Zawsze wabią w ten sam sposób? – Martin chciał wiedzieć, czy istniała szansa, że ktoś jeszcze wiedział o ogniu pożerającym Pragę i o zatrzymaniu się zegarów.

– Och, nie! Nic z tych rzeczy. Wtedy byłyby przecież całkowicie nieskuteczne. Wiedzą o tym i dlatego każdemu śpiewają o czymś innym. Na każdego inna przynęta, nie?

– Czym próbowały zwabić ciebie? – spytał Martin, zanim zdołał się ugryźć w język. Odpowiedź była krótka i bardzo treściwa.

– Ely. Podobno czeka na mnie w miejscu, z którego przybywają. – Księżę uśmiechnął się gorzko i pokręcił głową. – Chodź. Spóźnimy się na rozpoczęcie roku.

– Jestem częścią Kolegium, Kolegium to ja – oświadczył człowiek, który chwilę wcześniej przedstawił im się jako Mistrz Johan. – Ofiaruję Kolegium moje dłonie, mój głos, moje serce i duszę.

Martin rozglądał się po kaplicy. Był już tutaj kiedyś z rodzicami, podczas koncertu. Teraz atmosfera była inna, podobnie jak sytuacja. Cholera, wszystko było inne!

W pomieszczeniu rozległ się szmer niepewnych głosów, powtarzających formułkę. Martin również poruszał ustami, ale bezgłośnie, nieuważnie. Patrzył na zebranych w kaplicy adeptów. Wiatr musiał rozwiać kłębiące się na niebie chmury, bo na bladych twarzach odbijały się promienie słońca, wpadające przez kolorowy witraż. Nie potrafił na nich patrzeć tak, jak na nowych znajomych z uczelni. Nie mógł przestać się zastanawiać. Co zrobili, żeby się tu dostać? Kogo zabili, kogo zdradzili, kogo oszukali? W jaki sposób zostali zmuszeni do udziału w egzaminie wstępnym?

On sam stracił przyjaciółkę. Próbując odkryć prawdę o jej śmierci oszukał jednego z kandydatów i wyeliminował go, a na koniec wmówił przedstawicielom Rady, że wie o wiele więcej niż w rzeczywistości. A przecież podobno tylko on był ochotnikiem. Pozostali nie mieli wyboru. Wcale nie chcieli oddawać Kolegium swojego serca ani duszy. Stali ramię w ramię w nim, spoglądali na siedzących na podwyższeniu wykładowców, powtarzali recytowane przez Mistrza Johana regułki.

– Przysięgam przestrzegać reguł, którymi rządzi się życie w Kolegium – ciągnął wykładowca. Adepti powtarzali. Ci pierwszorocznicy głośno i z przejęciem, ci starsi od niechcenia.

– Bez względu na okoliczności dochowam lojalności Kolegium.

– Będę posłuszny wykładowcom.

– Nie będę używać kluczy do otwierania innych drzwi niż drzwi mojego pokoju.

– Będę unikać wszelkiego rodzaju intymnych relacji z wykładowcami Kolegium.

– Nigdy, przenigdy i pod żadnym pozorem nie stworzę ludzkiej marionetki.

Martin wzdrygnął się, zerkając na stojącego dwa rzędy dalej Greema, który recytował, uśmiechając się przy tym szyderczo i samym wyrazem twarzy podkreślając, jak niewiele sobie robił z tych reguł. Ciemnowłosa Inga o oliwkowej cerze i zmarszczonych brwiach uparcie milczała. Poza nimi w tej samej ławce stało jeszcze trzech adeptów. Tylko tyłu zostało z drugiego roku. Za nimi stał rudowłosy, brodaty Aisling w towarzystwie dwóch dziewcząt o śródziemnomorskiej urodzie. Brodacz spoglądał wyzywająco na Mistrza Johana, świadom tego, że zdążył już złamać całkiem sporo punktów złożonej przysięgi. W tej grupie powinna być jeszcze jedna osoba – Iskra. Ale Iskra odeszła z Kolegium i została za to ukarana.

Dopiero po dłuższej chwili Martin zorientował się, że Mistrz Johan umilkł. W ciszy dało się słyszeć niedaleki stukot obcasów. Ciężkie wierzeje kaplicy otworzyły się i w progu pojawiła się jeszcze jedna osoba.

W pierwszym momencie Martin pomyślał, że to spóźniona adeptka albo młoda nauczycielka. Mogła mieć dwadzieścia pięć lat, może trochę więcej. Wysoka, szczu-

pła, w szarej, dopasowanej sukni sięgającej kostek i pantofelkach na obcasach. Jej oczy były ciemnoniebieskie, odległe i zmrożone smutkiem. Zdecydowanie nie była jedną z mówiących lalek, chociaż w jej ruchach i kroku było coś, co bardzo lalkę przypominało. Przeszła wzdłuż ławek uczniów i stanęła na podeście dla nauczycieli.

– Pani Dyrektor. – Mistrz Johan przysunął jej obity czerwonym aksamitem fotel. Kobieta usiadła, zakładając nogę na nogę. Przesunęła wzrokiem po uczniach, przyglądając się każdemu z osobna i przyzwalająco pokiwała głową. Nie powiedziała ani słowa i milczała aż do końca spotkania.

W takich właśnie okolicznościach Martin po raz pierwszy ujrzał dyrektorkę Praskiej Szkoły Lalkarzy, Erikę Ekhart.

ADEPCI

– Moi studenci! – przemówił opiekun roku, kiedy znaleźli się na schodach prowadzących na ulicę.

Mortimer. Podróżny. Londyński Klucznik.

W czasie tych wakacji Martin miał okazję poznać go nieco lepiej. Jednak do tej pory nie był w stanie wyrobić sobie zdania na jego temat.

– Proszę jeszcze na chwilę za mną, kwestie organizacyjne.

Niepewnie ruszyli za Manipulatorem, spoglądając po sobie. Deptali mu po piętach, przemierzając kolejne korytarze i jednocześnie słuchając jego wyjaśnień dotyczących budynku. Klucznik Pragi – kimkolwiek właściwie był – naprawdę musiał się napracować. Wszystkie wykorzystywane przez Praską Szkołę Lalkarzy pomieszczenia połączone były ze sobą sprytnym systemem ukrytych przejść dostępnych dla studentów. Tak naprawdę można było przez cały dzień przemieszczać się między salami wykładowymi, biblioteką a częścią mieszkalną, nie natykając się ani na robotników, ani na turystów. Tak jakby będąc w tym samym budynku jednocześnie funkcjonowali w całkiem innej przestrzeni, zaledwie graniczącej ze współczesną Pragą.

– Vic... Vic! – Ciemnowłosa dziewczyna przepchała się obok Martina, żeby dołączyć do idącego przed nim chłopaka. Martin poznał ją od razu. To ona i jej koleżanka mijaly ich rano na schodach. – Vic, poczekaj na nas!

Chłopak odwrócił się i przystanął. Nagle dostrzegł Waltera i Martina. Podeszedł do nich, uśmiechając się pogodnie.

– Walt! – Klepnął chłopaka w ramię. – Kopę lat, co?

– Cześć, Victor – odparł Walter, odruchowo robiąc krok w tył. Martin spoglądał pytająco to na księcia, to na nowego znajomego. – Co słychać?

– Wczoraj przyjechałem do Pragi. Spędziłem noc u ciotki, później zostawiłem swoje bagaże w pokoju i oto jestem. Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że cię tu widzę. Już się bałem, że nie dasz rady.

– Niepotrzebnie, jak widać – odparł książę. Wciąż traktował chłopaka dość podejrzliwie, jakby nie wiedział, czego się po nim spodziewać.

– A ty... – Błękitne oczy Victora rozbłysły. – Ty musisz być Martin! W pierwszym momencie pomyślałem, że jesteś dziewczyną, więc to na pewno ty. Kuzyneczka Canelle mi o tobie pisała.

Martin poczuł dziwny ucisk w gardle.

Canelle. Dziewczyna z kluczem na szyi. Jego samowolna partnerka w wakacyjnym prywatnym śledztwie. Ostatni raz widział ją, kiedy zniknęła za drzwiami prowadzącymi w nieznane.

– Canelle? – powtórzył niepewnie.

– To moja kuzynka, nie mówiła ci?

Martin pokręcił głową. Nie miał pojęcia, że Canelle ma kuzyna. Skąd miałby wiedzieć?

– Przez całe wakacje pisała do mnie długie maile – ciągnął Victor. – Szkoda, że się tak minęliśmy i wyjechała akurat wtedy, gdy dotarłem do Pragi. Spędzilibyśmy razem trochę czasu. Wczoraj żaliła mi się w mailu, że bardzo nie chce wracać do szkoły. Biedaczka, źle znosi bycie z daleka od Obrzeży.

Martin zerknął ukradkiem na Waltera. Księżę również wyglądał na nieco zdezorientowanego.

– W mailu? – Martin przełknął ślinę.

– W mailu. Do ciebie nie pisała?

Martin pokręcił głową. A jeśli właśnie tak to się skończyło? Jeśli sama zarzuciła śledztwo i po prostu bezpiecznie wróciła do domu? Tylko dlaczego się z nim nie skontaktowała? Dlaczego nie dała znaku życia?

– Dziwne – mruknął Victor, pocierając palcem nos.

– Odniosłem wrażenie, że... jesteście sobie dość bliscy. Ale cóż, najwyraźniej się myliłem. – Rozłożył ręce. – Skoro nawet nie pochwaliła się, że ma kuzyna... Cóż za rozczarowanie.

– Może byście się tak ruszyli? – rzuciła dziewczyna, która wcześniej biegła za Victorem. – Blokujecie przejście.

– Tak, tak – mruknął Vic. – Już idziemy, Jo. Już idziemy.

Podróżny zaprowadził ich do jednej z sal wykładowych i gestem zachęcił, żeby zajęli miejsce przy jednoosobowych stolikach.

– Zatem... Raz jeszcze dzień dobry i moje uszanowanie – powiedział i uklonił się. – Naprawdę, za samo dostanie się tutaj zasłużyliście na mój szczerzy podziw i szacunek. – Zaklaskał w dłonie. – Nazywam się Mortimer Burton, chociaż część z was może znać mnie także pod pseudonimem „Podróżny”. Oficjalnie nie jestem

Mistrzem Marionetek, więc możecie mówić do mnie po prostu „Morty”. Jak pewnie zdążyliście zauważyć, strój adepta Kolegium składa się z czarnych spodni oraz szarej bluzy – powiedział, znacząco spoglądając na siedzącą w pierwszym rzędzie blondynkę ubraną w czarną gotycką suknię. – I radziłbym o tym pamiętać podczas zajęć. Nie tolerujemy także spóźniania się – dodał, kiedy do sali wpadła rudowłosa dziewczyna, mamrocząc pod nosem przeprosiny. Również nie miała na sobie regulaminowego stroju; wyglądało na to, że zaledwie przed chwilą przybyła na uczelnię. Martin zastanawiał się, jakim cudem w ogóle udało jej się znaleźć drogę, skoro ominęły ją wcześniejsze wyjaśnienia dotyczące rozkładu sal. – Co prawda była o tym mowa już podczas oficjalnego rozpoczęcia, ale powtórzę jeszcze raz dla naszej spóźnialskiej: cisza nocna obowiązuje od północy do godziny siódmej, także w weekendy. W tym czasie drzwi Klementinum są zamknięte. Oczywiście wolno wam angażować się we wszelkiego rodzaju zajęcia dodatkowe oferowane przez lokalne instytucje i jak najbardziej was do tego zachęcamy. Oczywiście pod warunkiem, że nie będzie to kolidować z programem kursu i nie będzie was zmuszało do późnych powrotów. Jeśli nie zdążycie wrócić na czas, cóż... czeka was noc w mieście, a w obecnej sytuacji raczej bym tego nie polecał.

Siedząca w pierwszej ławce ciemnowłosa adeptka podniosła dłoń do góry.

– Ale dlaczego? – zapytała, gniewnie odrzucając warokoz na plecy. – Starsze roczniki mówiły, że...

– Starsi adepci podlegają obecnie podobnym ograniczeniom i prawdopodobnie ich opiekunowie właśnie

prowadzą z nimi taką samą rozmowę – odparł Mortimer. – Czasy się zmieniły, panienko. Jeśli nie wróćcie na czas, nikt nie będzie mógł zagwarantować wam bezpieczeństwa.

Adepci spoglądali po sobie, zaskoczeni i zbici z tropu. Po chwili dziewczyna znów podniosła rękę do góry.

– W szkole przygotowawczej mieliśmy dostęp tylko do wybranych sekcji biblioteki. Czy tutaj też są takie ograniczenia?

Morty popatrzył na nią z odcieniem niepokoju i współczucia. Jakby idea zakazywania dostępu do części zbiorów w ogóle nie mieściła mu się w głowie.

– Nie ma działu książek zakazanych, jeśli o to chodzi. Wszystko w bibliotece jest dla was i do waszego użytku, nie widzę sensu umieszczania zakazanej wiedzy w ogólnodostępnej przestrzeni – skomentował. – Co do planu zajęć... Oczywiście wisi on zarówno tutaj, w holu, jak i na waszym korytarzu. W każdej chwili możecie na niego spojrzeć. Jak pewnie zauważycie, także adepci starszych roczników – powiedział i puścił oko do dociekliwej adeptki – mają w tym roku dodatkowe dwie godziny treningów kondycyjnych z Mistrzem Taro. Biegi, ćwiczenia, gimnastyka. Dobrze wam zrobi trochę ruchu.

Martin jęknął cicho. Podobnie zareagowała większość grupy. Tylko spóźnialska adeptka – mimo dość dużych rozmiarów – wydawała się zadowolona z tego stanu rzeczy. Zdobyła się nawet na drobny, triumfalny uśmiech.

– Nie radzę tego kwestionować i opuszczać zajęć – ostrzegł Morty, widząc ogólny brak entuzjazmu. – Poza tym... Cóż! Przygotujcie się na to, że to nie będzie dla was łatwy rok. Będziecie się bać, będziecie się wściekać

i przeklinać, będziecie wątpić i myśleć o ucieczce. Najlepszą radą, jaką mogę wam dać, jest to, byście jak najwięcej przebywali razem, rozmawiali, uczyli się od siebie nawzajem. Nie musicie się przyjaźnić, ale musicie umieć na sobie polegać. Chciałbym wam uświadomić coś jeszcze, przyjaciele. – Spojrzał na ich twarze. – Reguły tej uczelni istnieją nie po to, żeby testować waszą przebiegłość i zdolność naginania zasad. Zostały stworzone dla waszego bezpieczeństwa. Oczekuję, że będziecie ich przestrzegać. Szkoda, żeby taki potencjał się zmarnował – dodał, bardziej do siebie.

Dłoń dziewczyny z warkoczami znów znalazła się w powietrzu.

– Tak, panno...? – Przesunął wzrokiem po liście obecności.

– Jo – odparła. W tym momencie Martin był niemal pewien, że jeśli trzeba będzie wybrać starostę roku, właśnie ona będzie pierwszą kandydatką. – Po prostu Jo. Wcześniej wspominał pan, że nikt nie może zagwarantować nam bezpieczeństwa. A teraz ten wykład o regułach. Dlaczego pan tak to podkreśla? Coś się stało? Coś, o czym nie wiemy?

Twarz Mortimera była nieprzenikniona.

– Pani Erika Ekhart uważa, że nie jest to coś, co powinno obecnie zaprzętać wasze głowy. – Zdobył się na krzywy uśmiech. – Od siebie mogę dodać, że będzie dość czasu i okazji, by się pomartwić.

Tym razem nie było już więcej pytań.

Pierwszymi wyzwaniem, z jakim przyszło im się zmierzyć, były – ku pewnemu zaniepokojeniu Martina – zajęcia z językoznawstwa. Nie miał pojęcia, że program kursu przewiduje coś takiego.

Po prawdzie nie wiedział wielu rzeczy o Praskiej Szkole Lalkarzy, gdy do niej aplikował.

Przerwa była tak krótka, że właściwie opuszczanie sali nie miało sensu. Martin zdołał jedynie szeptem zapytać Waltera, czy pogrążony w rozmowie z Jo i jej koleżanką jasnowłosy Victor rzeczywiście jest kuzynem Canelle. O ile po niej i pani Althan od razu widać było bliskie pokrewieństwo, chłopak prezentował zupełnie inny typ urody.

– Tak, jest krewnym Canelle – potwierdził książe, ku pewnemu rozczarowaniu Martina. Mniej martwiłby się, wiedząc, że chłopak kłamał we wszystkim, co miało związek z zaginioną. – Chociaż to nie jest tak, jak on przedstawia. Nie przepadają za sobą. A w każdym razie ona nie przepada za nim i szczerze wątpię, żeby prowadziła z nim korespondencję.

– Wyglądacie na dobrych znajomych.

– Znamy się. – Walter westchnął. – Po prostu. Już nawet sam nie pamiętam skąd. Pewnie ze sklepu pani Althan.

Zanim Martin zdołał zapytać o coś jeszcze, drzwi do sali otworzyły się z cichym skrzypnięciem.

– Cześć, dzieciaki! – powitała ich Amy Dot.

Martin zwrócił na nią uwagę już podczas ceremonii inauguracyjnej. Niepozorna, uśmiechnięta blondynka w okularach, z włosami zebranymi w nieporządną, artystyczny kok wydawała się zaprzeczeniem wizji zimnego,

wyrachowanego pracownika Kolegium. To wrażenie potwierdzał niezobowiązujący strój – sprane jeansy, bluzeczka w kropki i sweterek z kokardkami. Martin zdziwił się, kiedy Walter szeptem uświadomił go, że kobieta jest jednym z najlepszych i najbardziej wpływowych Manipulatorów.

– Czy mamy w tym roku jakichś uczniów spoza Obrzeży? – zapytała wesoło. Zgłosił się Martin, czerwonołosa dziewczyna oraz drobny, ciemnowłosy chłopak siedzący w ostatniej ławce. Miał ostre rysy i krzywy uśmiech szkolnego cwaniaczka, któremu wszystkie przekręty uchodzą płazem.

– Trzy sztuki, no, no! – Wykładowczyni zatarła ręce. – Nieźle. Powiedz mi, moja droga – zwróciła się do dziewczyny – w jakim języku teraz rozmawiamy?

– No... po niemiecku?

Martin popatrzył na nią podejrzliwie. W jakimś stopniu znał niemiecki, zorientowałyby się. Owszem, dziewczyna miała silny akcent, ale był pewien, że mówi po czesku. Ciemnowłosy chłopak również wydawał się zdziwiony. Uczniowie ze szkoły przygotowawczej spoglądali na nich z politowaniem.

– Zaskoczeni, co? – Amy wybuchnęła śmiechem. – Każde z was automatycznie założyło, że skoro rozumiecie rozmówcę, to porozumiewa się z wami w waszym języku. A tu proszę, niespodzianka! – Przysiadła na brzegu ławki. – Zapytam jeszcze raz, tym razem wszystkich. W jakim języku się porozumiewamy?

Dłoń Jo – zgodnie z oczekiwaniami Martina – natchnionych wystrzeliła w górę.

– W języku Obrzeży, to chyba dość oczywiste – odparła, mrużąc oczy.

Amy klasnęła w dłonie.

– Język Obrzeży, tak, świetnie! – Uśmiechnęła się.
– A możesz wyjaśnić, co to za język i na czym ta cała zabawa dokładnie polega? Dlaczego wszyscy jesteśmy w stanie się nawzajem zrozumieć, chociaż pochodzimy z różnych miejsc i na co dzień na pewno mówimy innymi językami?

– No... – Tym razem Jo nie była już taka pewna. – To jakby ułatwienie dla nas, żebyśmy nie musieli się dodatkowo jeszcze męczyć z barierą językową...

– Owszem, ale to nie do końca odpowiedź na pytanie, moja droga. Sądziłam, że szkoła przygotowawcza jednak dokładniej wyjaśnia te kwestie. No dobrze! – Wstała i rozejrzała się po auli. – Ktoś ma jakiś pomysł?

Nikt się nie odezwał.

Martin przeklinał się w myślach. Walter, Inga, Iskra, Aisling... Poznał ich już w wakacje i na pierwszy rzut oka widział, że są innej narodowości, a jednak ani przez chwilę nie zdziwiło go, że jest w stanie się z nimi dogadać. Potraktował to jak oczywistość.

– Cała druga strona utkana jest z opowieści – powiedziała Amy. – Z legend, strasznych historii, baśni... Z czegoś, co w takiej lub innej formie jest znane większości ludzi; jest częścią większej całości. Języki mogą się różnić, ale historie opowiadane w różnych kulturach mają zaskakująco wiele wspólnych elementów. Pasują do siebie. Powtarzają się w nich pewne struktury, symbole. Wrażenia, przeczucia i lęki, które na poziomie nieświad-

domości są wspólne dla wszystkich. I dlatego właśnie jesteśmy w stanie się porozumiewać! Przekraczając granicę i przechodząc na drugą stronę wszyscy obracamy się w świecie tych samych opowieści, lęków i symboli. To język najbardziej podstawowy, najbardziej instynktowny, nie uczycie się go. Po prostu jeśli jesteście w stanie przejść na drugą stronę, możecie go też rozumieć. W pewnym sensie staje się waszą mową ojczystą. Czy to nie cudowne?!

Oczy kobiety jaśniały dziwnym blaskiem. Widać było, że uwielbia dzielić się ze studentami pasją, jaką był dla niej język Obrzeży.

Adepci cały czas spoglądali na nią podejrzliwie. Chyba tylko Walter i jasnowłosa dziewczyna w czarnej sukience zdawali się rozumieć, co chce przekazać wykładowczyni.

– Niektórzy z was zastanawiają się teraz pewnie nad tym, po co wam te zajęcia, skoro tak naprawdę wszyscy tutaj mówimy jednym i tym samym językiem, prawda? – Nie mogli zaprzeczyć. Martin również się nad tym zastanawiał. – Owszem, język Obrzeży najzupełniej wystarcza, jeśli chcecie zostać szeregowymi manipulatorami pracującymi głównie po drugiej stronie, zajmującymi się pilnowaniem porządku, rozstrzyganiem drobnych sporów, szpiegostwem. Do tego wystarcza jednak zwykle ukończenie szkoły przygotowawczej. Wy zamierzacie zostać Mistrzami Marionetek, a Mistrz musi być ambitny. Mistrz musi szkolić się z myślą, że kiedyś będzie pociągał za sznurki przychepione do ramion największych światowych przywódców. Do tego język Obrzeży może nie wystarczyć – ostrzegła. – Język to najprostszy sposób, żeby na kogoś wpłynąć, żeby zmienić jego decyzje, jego światopogląd.

– A tak w praktyce? – rzuciła śmiało Jo. – Jak pani to wykorzystuje?

– Och, złotko. – Amy uśmiechnęła się pobłaźliwie. – Na co dzień jestem tłumaczem.

Martin słuchał reszty wykładu, mechanicznie robiąc notatki. Cały czas myślał o tym, co o języku Obrzeży powiedziała Amy: o tym, że po przejściu na drugą stronę stawał się językiem ojczystym. Czy to był ten język, który słyszał wczoraj w podziemiach metra? Czy to tym językiem dziwna kobieta zapraszała go do tańca? Zadrżał na samo wspomnienie. Ukradkiem zerknął na Waltera, który po prostu słuchał wykładowczyni, od czasu do czasu kiwając głową. Te informacje na pewno nie były dla niego nowością.

Martin miał dziwne przeczucie, że myśli księcia błędą gdzieś bardzo daleko. Podróżował do krain jesieni z tym demonem, który wabił go obietnicami o czekającej na niego Ely. Zamyślił się tak bardzo, że nawet nie zauważył, kiedy Amy wyszła i zastąpił ją Mistrz Johan. Dopiero gdy Martin lekko szturchnął go w łokieć, książę wstał i się uklonił.

Martin zmrużył oczy. Ze słów Greema oraz z informacji przekazanych podczas porannego spotkania w kaplicy dowiedział się, że Mistrz Johan pełnił funkcję wicedyrektora i najbliższego współpracownika Eriki Ekhart. Jak dotąd nie było mowy o tym, że będzie ich czegokolwiek uczyć.

– Wielu osobom tu obecnym wydaje się, że skoro tutaj trafiły, to potrafią manipulować innymi. – Mistrz zabrał głos, z lekceważeniem rozglądając się po sali. – Że skoro udało im się owinąć sobie wokół palca kolegów z daw-

nej klasy, wyłudzić od kogoś pieniądze albo nakłonić rodziców, by dali więcej wolności, niż to jest wskazane – powiedział i popatrzył prosto w oczy Martina, który zamrugał zdziwiony – to mogą uznawać się za geniuszy. Nic nowego. Co roku mamy tu takich i co roku uświadamiamy im, jak bardzo się mylą. Wiele osób to potrafi. Co drugi niestabilny emocjonalnie, narcystyczny gówniarz potrafi podporządkować sobie ofiarę, osaczyć ją, zastraszyć i wykorzystywać ją do podbudowania ego. Nie takiej manipulacji będziemy się tutaj uczyć – zapowiedział. – Nikt nie pokaże wam, jak krzywdzić ludzi, uzależniać ich od siebie i wykorzystywać do waszych celów. Egzamin wstępny aż za dobrze pokazał, że to macie już opanowane. Zabawa się skończyła. Czas wejść na wyższy poziom i osiągnąć nieubłaganą, mistrzowską precyzję. – Uśmiechnął się. Rudowłosa adeptka skuliła się na widok tego uśmiechu. Martin miał ochotę zrobić to samo.

Po przerwie obiadowej przyszedł czas na zajęcia z Podróżnym – pierwsze prawdziwe ćwiczenia z marionetkami. Bez wątplenia właśnie to ciekawiło wszystkich najbardziej. Warsztat był największym szkoleniowym pomieszczeniem w Klementinum. Jedną część zajmowały stoły warsztatowe, drugą kilka ław dla widzów. W równych odstępach stały blaty wyposażone we wszystkie potrzebne narzędzia do obróbki drewna, pod ścianami ustawiono maszyny do szycia oraz sztalugi. Martin ledwie powstrzymał się od chodzenia po sali i dotykania

znajdujących się na półkach przedmiotów. Czerwonowłosa adeptka prychnęła cicho, kiedy drobny brunet wszedł na moment na scenę i zaczął udawać przemówienie.

Podróżny pojawił się na stryszkach niemal w tym samym momencie co jasnowłosa dziewczyna, tym razem przyodziana już stosownie do regulaminu.

– Witajcie ponownie, przyjaciele! – Wykładowca zaklaskał. – Mam nadzieję, że Amy was za bardzo nie wyęczyła. To pierwszy dzień, dlatego poprosiłem, żeby traktowała was ulgowo.

Kilka osób roześmiało się niepewnie.

– Weźcie krzesła i usiądźcie w kręgu – nakazał.

– Nie wiem, czemu czuję się jak na terapii grupowej – mruknął drobny brunet, zajmując miejsce obok Victora. Blondyn odpowiedział bladym uśmiechem.

– Proszę, wyjmijcie swoje marionetki – polecił Mortimer.

Po raz pierwszy Martin miał okazję zobaczyć lalki swoich kolegów z grupy, podobnie jak Daimon pozbawione włosów i ubrania. Większość z nich była całkowicie nowa, pewnie dopiero co kupiona w jednym z drogiej sklepów w centrum Pragi. Lalki Victora, Waltera oraz drobnej blondynki wyglądały jednak na pochodzące z drugiej ręki, podobnie jak lalka Martina.

„Oddam go komuś, kto udowodni, że potrafi odpowiednio pociągać za sznurki” – tak powiedziała pani Althan, oferując mu ją. Czy naprawdę umiał? To miało się dopiero okazać.

– A teraz poproszę każdego z was, żeby się przedstawił i powiedział, na jakim gra instrumencie i jak nazywa się jego marionetka. Na razie tylko tyle. W porządku?

Wszyscy pokiwali głowami,

– Będę was pytał jedno po drugim. Zaczniemy od ciebie – powiedział, uśmiechając się do siedzącej po jego prawej stronie dziewczyny.

– Nel – przedstawiła się. Podobnie jak jej brat bliźniak, siedzący po drugiej stronie Mortimera, miała szare oczy i charakterystyczne, lekko pociągłe rysy twarzy z wysokimi kośćmi policzkowymi. Bardzo jasne, prawie białe włosy opadały jej na czoło, nadając wyraz twarzy sennej, zamyślanej hipiski z lat sześćdziesiątych. Kiedy sięgając po lalkę niechący podwinęła rękaw bluzy, Martin dostrzegł cienką sieć tatuaży. Celtyckie wzory okalały cały nadgarstek, niemal zachodząc na dłoń. – A to jest Freja. Nie gram na żadnym konkretnym instrumencie – dodała. Znacząco przesunęła dłonią po swoim gardle. Miała przyjemny, melodyjny głos. Martin zrozumiał, że jej specjalnością jest śpiew.

– Nie chcesz ujawnić kolegom z klasy swojego pełnego imienia? – zasugerował Morty.

Z namysłem pokręciła głową.

– Będzie obco brzmieć dla ich uszu. Nie lubię, gdy ktoś źle je wymawia – wyjaśniła, uśmiechając się pogodnie.

– Jest to jakieś wytłumaczenie. – Morty pokiwał głową. – Panienska Po Prostu Jo, tak? – Zerknął na sąsiadkę Nel i natychmiast rozpoznał szczególnie aktywną podczas wcześniejszego spotkania adeptkę. Z wyraźnym zadowoleniem pokiwała głową.

– Tak, Jo. To nie jest żadne zdrobnienie – uprzedziła.

– Naturalnie! – Skinął głową. – Jaki wybrałaś sobie instrument, Po Prostu Jo?

– Trąbkę.

– A jak nazywałaś marionetkę?
– Ismena. A marionetka Any nazywa się Antygona – kontynuowała Jo, zanim jej towarzyszka zdążyła się odezwać.
– Interesujące – przyznał Mortimer, przenosząc wzrok na dziewczynę z krótkimi, kręconymi włosami w odcieniu mysiego blondy.

Ana się zaczerwieniła, najwyraźniej skrepowana sytuacją. Martin wcale się jej nie dziwił. Też czułby się skrepowany, gdyby siedzący obok Walter wyręczał go w autoprezentacji.

– Gram na harfie – wymamrotała, zdając sobie sprawę z tego, że wykładowca wciąż się w nią uważnie wpatruje.

Podróżny pokręcił z pobłażaniem głową i wskazał następną osobę.

– Victor Althan – odezwał się jasnowłosy chłopak siedzący obok Any. Zgodnie z tym, co rano zapowiedział Walt, uczniowie ze szkoły przygotowawczej konsekwentnie trzymali się razem. Martinowi nie umknęło, że Victor był pierwszą osobą, która przedstawiła się imieniem i nazwiskiem. – Gram na skrzypcach. Moja marionetka nazywa się Cato. Plotka głosi, że została wykonana przez Mistrza Corneliusa i...

– Ach tak. – Mortimer wzrokiem wskazał na następnego w kolejności bruneta.

– Nazywam się Augustus La Fayette – powiedział tamten spokojnie. Założył nogę na nogę, a ramię przerzucił przez oparcie krzesła. W jasnoszarych oczach czaiła się arogancja. – A moja maleńka to Marie Antoinette. – Wskazał na dość zużytą, łysą marionetkę. – Niestety wymaga odnowienia. – Westchnął. – Za często zdarza jej się tracić głowę.

Przez salę przetoczyła się fala wesołości, gdy Augustus zademonstrował, jak przy najmniejszym ruchu główka lalki po prostu odpada.

– Będziesz potrzebował pomocy przy naprawie – ocenił Morty. – Ale zajmiemy się tym. – Loretto – zwrócił się do jasnowłosej dziewczyny siedzącej z marionetką na kolanach. Dopiero teraz Martin miał okazję lepiej przyjrzeć się adeptce. Była zdecydowanie młodsza od pozostałych. Mogła mieć jakieś szesnaście lat, tak jak Canelle.

– Lotta – powiedziała, spoglądając Mortimerowi w oczy. Martin zorientował się, że oczy wykładowcy i adeptki mają niemal identyczny, intensywnie zielony kolor. – Mojra – dodała, wskazując na lalkę. Wyglądało na to, że Mortimer nic więcej z niej nie wyciągnie.

– Nasza spóźnialska – zwrócił się do następnej osoby. Dziewczyna odgarnęła za ucho pasemko intensywnie czerwonych włosów. – Na przyszłość staraj się jednak skupiać na sobie uwagę w inny sposób niż spektakularne wpadanie do sali po czasie.

Dziewczyna pobladła, zaczerwieniła się i znów pobladła. – Frederika Kruger. – Uniosła dumnie głowę. – Freddie. Gram na perkusji – poinformowała wszystkich zebranych, unosząc brwi, jakby chciała się upewnić, czy ktoś z obecnych ma z tym problem. – A to jest Alecto – dodała, wskazując na lalkę.

Morty spojrzał na Martina.

– Bardzo proszę – zachęcił.

– Martin Lubovic. Gram na basie. Marionetka ma na imię Daimon – dodał.

– Wasza wysokość? – Podróżny spojrzał na Waltera.

– Walter, książkę Żelaznego Dworu. Moja marionetka nazywa się Ely.

Martin jęknął w duchu. Nie był nawet specjalnie zaskoczony, wręcz się tego spodziewał.

Nagle poczuł, że ktoś się w niego wpatruje. Podniósł wzrok i napotkał spojrzenie pełne głodu i nienawiści. Błękitne oczy Victora. Potrzaskał głową i zerknął na kolegę z grupy raz jeszcze, ale na twarzy blondyna było wymalowane znużenie i pobłażliwość wobec wszystkich pozostałych adeptów.

Martin był jednak pewien – nie wydawało mu się!

Ostatni w kolejce Ned – brat bliźniak Nel – również odmówił podania swojego pełnego imienia, pod tym samym pretekstem co siostra. Zbyt skomplikowane, obce dla uszu, nie zniósłby przekręcania go. Również miał długie jasne włosy, nieco nieobecne spojrzenie i tatuaże. Również tylko śpiewał. Jego marionetka miała na imię Frey.

– Skoro już wszyscy jesteście w komplecie i się znacie – powiedział Morty – to czas brać się do pracy. Każdy z was podejdzie teraz do swojego stołu. Możecie je sobie wybrać wedle uznania, ale nie możecie ich już zmienić aż do końca roku. Macie dużo pracy, musicie uczyć wasze marionetki... waszymi. Nadać im charakter. Uszyć ubrania, dobrać peruki, poprawić to i owo. Nie traćcie czasu, trzy godziny to nie tak dużo, a już dość czasu poświęciliśmy na gadanie. Przed następnym spotkaniem chcę zobaczyć ich charakter. Chcę wiedzieć, kim są. I kim jesteście wy sami!

WYJĄTKOWO DESZCZOWY WRZESIEŃ

Pierwszym zaskoczeniem był fakt, że nagle stracił kontrolę nad Daimonem. Podczas wakacji udało mu się już częściowo opanować technikę poruszania marionetką. Kosztowało go to sporo trudu – Daimon był dużą lalką o dużej ruchomości stawów i wielu żyłkach. Kiedy jednak przyszedł na drugie zajęcia i przebrał lalkę w przygotowany przez siebie strój, nagle całkowicie stracił nad nią kontrolę. Była nieruchoma, całkowicie oporna na jego próby poruszania cienkimi, przezroczystymi żyłkami. Nie on jeden miał problemy. Nawet Victor, który cały poprzedni wieczór przechwalał się, że ma za sobą lata praktyki, teraz nie potrafił wprawić Cato, swojej marionetki, w ruch.

– No co jest, do cholery? – mamrotała pod nosem Frederika, z każdą chwilą coraz bardziej sfrustrowana.

Podróżny siedział na biurku, palił fajkę wodną i obserwował ich, najwyraźniej świetnie się przy tym bawiąc. Smugi dymu z nargili snuły się pod sufitem. Deszcz bębnił o dach i o szyby warsztatowych okien.

– Chyba nie myśleliście, że będzie łatwo, hmm? – zapytał.

– No właściwie... – odparł Gus, łypiąc na niego ze złością. Jego lalka właśnie po raz kolejny straciła głowę pod wpływem zbyt gwałtownego ruchu. – Dopóki tutaj nie trafiłem, radziłem sobie z nią całkiem nieźle.

– Bo wtedy była po prostu używaną marionetką – wytłumaczył Podróżny. – Nie istniała między wami żadna więź. Nie było magii Manipulatorów.

– A teraz jest?

– Na pierwszych zajęciach poprosiłem was, żebyście usiedli w kręgu i przedstawili siebie i swoje lalki. Żebyście uszyli im ubrania, nadali im charakter, określili, kim są według was. Dopiero wtedy zaczęliście mieć z nimi problemy, prawda?

Adepci popatrzyli na siebie i niechętnie pokiwali głowami.

– No właśnie! – Podróżny się uśmiechnął. – Otóż to!

– Otóż co? – Gus popatrzył na niego zrezygnowany.

– Dzięki temu narodziła się więź między wami i waszymi marionetkami. Jesteście ich właścicielami.

– Ale to nie ma sensu! – krzyknęła Jo. – Skoro jesteśmy właścicielami, to powinny nas słuchać, czy tak?

Morty znów się roześmiał. Szczerze, naturalnie. Jakby powiedziała coś niezwykle zabawnego.

– Czego oni was uczą w tych szkołach przygotowawczych? – Westchnął, wciąż kręcąc głową. – Marionetka ma obowiązek słuchać wyłącznie swojego stwórcy. Nikogo więcej. Jeśli chcecie mieć absolutnie posłuszną marionetkę, musicie zbudować ją od podstaw. Zaczniecie się jednak uczyć tej sztuki dopiero wtedy, kiedy zapanujecie nad tymi maleństwami. One mają imiona, mają dusze, mają swój charakter i wolną wolę. Musicie przekonać je,

żeby słuchały właśnie was. Musicie im pokazać, że jesteście tego warci, że macie dość siły, by nad nimi zapanować. Byle idiota ze szkolnego kółka teatralnego potrafi wziąć pierwszą lepszą marionetkę z wystawy i poruszać nią tak, żeby pomachała ręką – ciągnął Podróżny, gestykulując z przejęciem i nie zwracając najmniejszej uwagi na gniewne spojrzenia Martina. – Ale nakłonić do tego marionetkę, z którą jesteście związani magią Manipulatorów... Właśnie to będzie wasze zadanie na ten rok!

Właściwie każdy ranek spędzali w auli na pierwszym piętrze, słuchając, jak sędziwy wykładowca, profesor Septim, opowiada o historii dramatu. O starożytnych greckich tragediach i regule trzech jedności. O maskach. Martin słuchał uważnie, chociaż dla niego było to głównie powtórzenie znanych wiadomości. Profesor Septim nie był Mistrzem Marionetek, zaś jego wywody i rozważania brzmiały czysto akademicko. Oprócz Martina tylko trzy osoby zdawały się zdradzać pewne zainteresowanie tematem: nieśmiała Ana i jasnowłose bliźniaki o rozmarzonych spojrzeniach. Znacznie ciekawsze były wykłady Amy Dot. Po wstępie dotyczącym Mowy Obrzeży kobieta kontynuowała temat językoznawstwa. Skupiała się głównie na wykorzystaniu języka do manipulacji ludźmi.

– Kiedy już musicie kogoś szantażować, starajcie się z tym nie przesadzić – pouczała. – Starajcie się, żeby wasz głos nie brzmiał tak, jakbyście zastraszali i grozili. Odwołujcie się do faktów. Do tego, że dane zachowanie przewiduje konkretne konsekwencje. Przypominajcie o tym, że świat jest bezlitosny. Już samo zwrócenie na to

uwagi sprawi, że obiekt waszej manipulacji zacznie się zastanawiać. Ze nie będzie mógł was oskarżyć, a jednocześnie zostanie zmuszony do konfrontacji z faktami, do przemyślenia swoich decyzji.

Martin musiał przyznać, że po każdych takich zajęciach przyglądał się podejrzliwie swoim kolegom z grupy, próbując wybadać, czy żadne z nich nie próbowało wykorzystać podsuniętych przez wykładowczynię pomysłów.

Zajęciami, które wzbudzały w nich najwięcej lęku, były te prowadzone przez Mistrza Johana. Miał on przykry zwyczaj zapraszać na środek dwóch wybranych adeptów i zmuszać ich do odgrywania wymyślonych przez niego scenek – na przykład kłótni albo próby nakłonienia do czegoś – tylko po to, by następnie bezlitośnie komentować wszelkie niedociągnięcia i słabości. Po tym, jak Mistrz Johan kilkakrotnie nakrył Martina na penetrowaniu korytarzy w pobliżu gabinetu dyrektorki, adept szybko stał się jego ulubionym materiałem pogładowym. Może to sama Erika nakazała podwładnemu, by miał na niego oko? Albo osobiście postanowił pokazać adeptowi, gdzie jego miejsce?

Jakimś sposobem Mistrz Johan wiedział podejrzanie dużo o jego umowach z rodzicami oraz dawnych szkolnych problemach i z lubością wykorzystywał to, przydzielając mu role i komentując poszczególne scenki. Po kilku zajęciach Martin spostrzegł, że jego strefa dyskomfortu stała się nową strefą komfortu i czuł się nieswojo, gdy Mistrz Johan akurat niczego od niego nie chciał. Poza nim ulubieńcami wykładowcy bardzo szybko zostali też Frederika, Gus i Victor.

Musieli też rozwijać swoje zdolności muzyczne. Te zajęcia Martin polubił od razu. Jako że każdy z adeptów zgłosił umiejętności w zakresie gry na innym instrumencie, ćwiczenia odbywały się w trybie indywidualnym. Martinowi przypadł w udziale Mistrz Cyril, bardzo pogodny człowiek o wyglądzie podstarzałej gwiazdy rocka. Wydawał się – jak na standardy Kolegium – względnie nieszkodliwy i miał zaskakująco dużo cierpliwości. Mimo tego już w środę Martin nie mógł doczekać się weekendu.

Zajęcia praktyczne przeplatały się z wykładami wymagającymi nieustannego notowania. Martin musiał dodatkowo starać się, by pismo było w miarę wyraźne i nadające się do odczytania przez Waltera. Zraniona dłoń chłopaka zagoiła się tylko powierzchownie i teraz – po wielu godzinach ćwiczeń z marionetką – rana otworzyła się na nowo. Po każdej sesji ćwiczeniowej bandaż nasiąkał krwią. Tak jakby marionetka, dla której zrobił rudą perukę i uszył zieloną sukienkę, wysysała z niego krew. Nikt oprócz Martina nie zwrócił na to większej uwagi. Tylko jasnowłosa, rozmarzona Nel i Freddie czasem zerkały uważnie na księcia, niepewnie odwracając wzrok, gdy tylko ten zdawał sobie sprawę, że jest obserwowany.

Wszyscy wściekali się na dodatkowe ćwiczenia kondycyjne. Dwie godziny biegów, skakania i wspinania się po ścianach były ostatnią rzeczą, której potrzebowali i tak już zmęczeni adepci. Mistrz Taro nie był szczególnie wybredny w kwestii czasu i miejsca ćwiczeń. Otwierał im przejścia do nieużywanych magazynów i starych poligonów czy nieużytków i tam kazał ćwiczyć bez względu na warunki atmosferyczne. Na wietrze, w deszczu i we mgle.

– I myślałby kto, że jesteśmy talentami – syczała przez zęby Jo, po raz kolejny podnosząc się z niezbyt efektownego padu. – Że jesteśmy elitą i po egzaminach będziemy spokojnie siedzieć i rozkazywać ludziom, zmuszać ich, by zrobili to, czego chcemy, i kontrolować ich jednym słowem. Nie po to spędziłam tyle lat w przygotowawczej, żeby teraz taplać się w błocie. Co to ma w ogóle być? Zabawa w wojsko?!

Mistrz Taro pochylił się nad dziewczyną. Był dość młody, drobny i niski. Długie jasne włosy związywał w kitkę. Prawie nieustannie musiał poprawiać zsuwające się z nosa druciane okulary.

– Owszem. Szkolimy was po to, byście zostali elitą – przyznał. Mżawka i mgła unosząca się nad łąką najwyraźniej nie robiły na nim wrażenia. – Posiadacie przecież unikatowy zestaw cech, które być może pozwolą wam osiągnąć wielkość i rządzić tym miastem. Ale rządzić znaczy także bronić i ochraniać. I dlatego jeśli Praga kiedykolwiek znajdzie się w niebezpieczeństwie, to wy staniecie na pierwszej linii frontu.

– I dlatego chce pan nas na to przygotować, tak? – domyśliła się Freddie. W ciemnych oczach pojawił się wojowniczy błysk. Błoto spływało z włosów wraz z czerwoną farbą.

– A kto powiedział, że nie będziemy walczyć? – zapytała Jo, nie podnosząc się z ziemi. Ewidentnie korzystała z każdej możliwej chwili odpoczynku. – Mamy przecież nasze marionetki. Mamy techniki iluzji, których wkrótce się nauczymy. Mamy ludzi, których możemy...

– Słuszna uwaga! – Mistrz Taro niby przypadkiem nastąpił jej na palce. Dziewczyna skrzywiła się z bólu,

jednak nie krzyknęła. – Tyle że nie zawsze i nie w każdym przypadku będziecie mieć marionetki, iluzje i chętnych ludzi – powiedział. – Nie przeciw wszystkiemu, z czym przyjdzie wam się zmierzyć, będzie to skuteczne. A nawet jeśli, to żeby utrzymać iluzję, marionetkę i kontrolę nad człowiekiem, potrzeba siły, także tej fizycznej. Dlatego będziecie przychodzić do mnie na zajęcia i będziecie się szkolić. Będziecie do mnie przychodzić tak długo, jak Erika Ekhart uzna to za konieczne.

Były chyba tylko dwie osoby, które zdawały się nie mieć nic przeciwko temu: Inga i Freddie. Ingę gnała paląca, niepowstrzymana ambicja, Freddie była zaś – z tego, co Martin zdążył zauważyć – maniaczką zdrowego trybu życia.

– Nie mam pojęcia, jak jedząc taką trawę i tak się wrywając u Mistrza Taro można mieć taki wielki tyłek – powiedziała któregoś dnia Jo.

– Też nie rozumiem – przyznała w zadumie Freddie, wkładając do ust kawałek pomidora. – Swoją drogą ciekawe, że wczoraj Ana to samo mówiła o tobie. Prawda, Martin?

Martin przyglądał się całej trójce z politowaniem. Nie miał czasu na przedszkolne, dziecinne intrygi Freddie.

Mimo że minął już niemal miesiąc, wciąż trzymał się głównie z Walterem oraz z Greemem i Ingą, którzy teraz spędzali czas głównie na sprzeczkach i dogryzaniu sobie. Kłótnie urywały się w pół słowa, gdy tylko Martin pojawiał się w zasięgu wzroku. Nie był pewien, co o tym myśleć. Cały czas pamiętał wakacje, spotkanie w sklepie i później w Starej Sprawie. Nie mógł uwierzyć,

że tak po prostu dali sobie spokój ze spiskiem i skupili się na rywalizacji o tytuł Mistrza Marionetek, dokładnie tak, jak chciała Erika Ekhart. Alternatywą było potajemne knucie za plecami Martina. Nie mógł zdecydować, która wersja była bardziej denerwująca.

– Nie sądziłam, że nasz Gus potrafi być taki miutki! – stwierdziła Nel, obracając się na barowym stołku i spoglądając w głąb Knajpy Morderców. Wraz z siedzącym obok bratem oraz Martinem obserwowali, jak Augustus La Fayette bez większego powodzenia próbuje poderwać nieśmiałą, małomówną Lottę. Dziewczyna znów porzuciła szkolny uniform na rzecz czarnej sukienki z koronkami i kokardkami.

Reszta ich grupy kręciła się po lokalu. Na razie obyło się bez żadnych incydentów i morderstw. Victor jak zwykle siedział w towarzystwie Jo, Any oraz Freddie. Najwyraźniej również obserwując i komentując wysiłki Gusa.

– On chyba jeszcze nie wie – zawyrokował Ned, przekrzywiając głowę.

Martin zmarszczył brwi.

– O czym nie wie?

Nel i Ned wymienili porozumiewawcze, pełne politowania spojrzenia. Stina zachichotała.

– Lotta – mruknęła. – Czy to przypadkiem nie ta cała... Loretta z Millhaven?

– Dokładnie ta sama – powiedział Ned. Martin wciąż spoglądał na nich zdeorientowany. – No wiesz, z tej

piosenki Nicka Cave'a, „Przekleństwo Millhaven”. *All god's children have to die*. Wymordowała jakieś pół miasteczka, zanim ją zamknęli.

Martin się wzdrygnął. Zdawał sobie sprawę z tego, że na tej uczelni mroczne sekrety są codziennością, ale coś takiego?

– Ale... skoro ją zamknęli, to co ona tu robi?

– Och, to przecież nie wydarzyło się naprawdę, głupku! – Stina się roześmiała. – To tylko piosenka. Piosenka, w którą ktoś uwierzył na tyle, że przybrała realne kształty. Stała się prawdziwa. Lotta, którą widzisz, to Istota z Cienia. Demon z samego serca drugiej strony, który jakimś sposobem przedostał się na Obrzeża. Skoro Kolegium uznało, że spełnia warunki rekrutacji i skoro przeszła egzamin wstępny, nie było powodu, żeby jej nie przyjąć.

– Ale... seryjna morderczyni?!

– Cicha woda brzegi rwie. – Ned opróżnił swój kufel i odstawił go na blat.

– Freddie twierdzi, że ona jest w porządku – stwierdziła Nel. – Chyba mają sztamę. Znaczy... gdyby się pokłóciły, chyba byśmy zauważyli, nie?

– Chociażby na podstawie stanu liczbowego grupy – dodał jej brat.

– Gus sobie poradzi – orzekła Stina, przyglądając się ciemnowłosemu chłopakowi. – Wygląda na takiego, co z niejednego pieca jadał chleb.

– Ma lalkę, której odpada głowa – przyznał Martin. – Nazwał ją Maria Antonina.

– No, i widzisz! – Stina klasnęła w dłonie. – On i Lotta będą któregoś dnia piękną parą.

Martin rozejrzał się po lokalu.

– No ale wygląda na to, że wszyscy całkiem nieźle się bawią – orzekł. – Nie rozumiem, czemu Greem stwierdził, że to głupi pomysł.

– Greem? – zapytała Stina, przekrzywiając głowę. Napełniała właśnie kolejny kufel. – Próbuje zniechęcić do nas klientów?

– Coś ty! Bardziej mu chodziło o to, że idziemy całą grupą. Ma jakieś dziwne przekonanie, że powinniśmy unikać integracji jak ognia, bo to wszelkie zło tego świata.

– Ach, to... – Westchnęła. Odstawiła pełny kufel na bok i sięgnęła po następny. – Wiesz, Greem miał dość nieprzyjemne zakończenie zeszłego roku. Nie chcę wchodzić w szczegóły, ale ma prawo być trochę zgorzkniały. Nie przejmuj się nim – poradziła. – Ale... tak swoją drogą, wolałabym, żebyś uprzedzał mnie o tym, że zamierzasz tutaj robić imprezę.

Martin popatrzył na nią pytająco.

– Widzisz... Mogłeś odnieść wrażenie, że skoro Greem i Inga przesiadywali tutaj w wakacje niemal codziennie, jest to coś w rodzaju oficjalnego lokalu Kolegium. Nie jest. Pełnoprawni pracownicy Kolegium nie przekraczają tych progów i nie mają żadnego wpływu na to, kto tu przychodzi i w jakiej sprawie. Wolelibyśmy, żeby tak pozostało, zwłaszcza że wielu klientów nie życzy sobie inwigilacji. Jeśli chodzi o Kolegium, to wstęp mają tylko zaprzyjaźnieni adepci. Marek nie wywalił twoich kolegów tylko dlatego, że są z tobą.

– Przepraszam – bąknął Martin, czując, że się czerwieni. – Będę pamiętał.

– Swoją drogą – dodała łagodniej – podziwiam, że udało ci się ich wszystkich zwerbować. Wyglądają na indywidualistów.

Wzruszył ramionami.

– To ich sprawka. – Ruchem głowy wskazał na bliźnięta. Nel przerwała rozmowę i popatrzyła na niego pytająco. – Nic, nic. Mówilem tylko, że właśnie wam zawdzięczamy to, że udało nam się jakoś zorganizować i wyjść razem na miasto.

Nel uśmiechnęła się, jakby nieobecna.

– Słyszeliśmy o Knajpie Morderców, ale do tej pory podstępny los jakoś nie pokierował nas w jej kierunku – wyjaśniła.

– Dokładniej rzecz ujmując, kuzynek Aisling nie chciał nam powiedzieć, gdzie znaleźć wejście, żebyśmy nie zeszli na złą drogę – sprecyzował Ned.

– Ale oczywiście kiedy Martin się wygadał, że wie, jak trafić, nie mogliśmy odpuścić.

– W takim razie cieszę się, że wam się podoba – powiedziała kelnerka, wciąż rzucając Martinowi ostrzegawcze spojrzenia. – Kolejne piwo na koszt firmy?

– Pewnie – zgodził się Ned. – Czemu nie.

Barmanka przesunęła w ich stronę dwa pełne kufle ciemnego piwa. Szarozielone oczy Nel rozbłyły na sam widok.

– No, a ty? – zapytała Stina, opierając się łokciami o ladę i spoglądając na Martina. – Jak ci się podoba uczelnia?

– W porządku – odparł bez wahania. – Myślałem, że w ogóle nie ogarnę i że będę miał straszne tyły. Wiesz, ja, Freddie i Gus nie wychowaliśmy się na Obrzeżach,

ale... jednak ogarniam. A w każdym razie nie odstaję zbyt od innych. – Piwo rozwiązało mu język. Wrażenia ostatnich tygodni domagały się uzewnętrznienia.

Nagle poczuł, że czyjaś ręka targa mu włosy.

– Uroczy jest, co nie? – Dobiegł go tubalny śmiech Aislinga. Postawny, rudowłosy brodacze musiał przysłuchiwać się ich rozmowie od dłuższej chwili. – Szczególnie kiedy się tak ekscytuje.

– Uroczy – przyznała Stina. Oparła głowę na splecionych dłoniach i wyszczerzyła zęby w uśmiechu godnym kota z Cheshire. Martin zaczerwienił się. Zdecydowanie za bardzo się rozgadał. Można by pomyśleć, że naprawdę dobrze się czuje w Praskiej Szkole Lalkarzy. Że wcale nie wolałby wraz z Mortimerem i Widmokotem szukać Canelle, i że wcale nie jest zakładnikiem własnego marzenia.

Nel i Ned poruszyli się niespokojnie i wbili wzrok w swoje kufle. Starali się nie rzucać Aislingowi w oczy. Adept pogroził im palcem.

– Będą dzisiaj chłopaki?

– Sid i Sin pojechali z tym swoim cyrkiem w trasę – odparła barmanka. Ewidentnie nie podobało jej się to, że na razie musi obyć się bez asystentów. – Szukaj wiatru w polu. Wróć na wiosnę, jeśli w ogóle.

– W trasę? – zdziwił się Martin. – Teraz? Jest jesień...

– No właśnie – powiedziała ze złością. – Ze wszystkich wędrownych cyrków, które są po tej i po tamtej stronie, oni musieli przyczepić się do takiego, który ma jakiś zaburzony cykl pór roku i sobie jeździ w trasę zimą. I kto ich niby ogląda? Bałwany?

– Mieszkańcy krain lata – odparł ze śmiechem Aisling. – Tyle już tu pracujesz i nie wiesz, że po drugiej stronie są miejsca, w których liście nigdy nie opadają z drzew? Podobnie jak są miejsca, w których panuje wieczna zima lub wieczna jesień. Mieszkają w nich...

– Jesienne demony – powiedział Martin, zanim zdążył się ugryźć w język. Aisling przekrzywił głowę i popatrzył na niego zaciekawiony. – Spotkałem jednego na mieście – wyjaśnił szybko Martin.

– Strasznie ich teraz dużo – przyznał Aisling. – Ciekawe dlaczego... – Popatrzył znacząco na Stinę. – Dobrze, skoro nie ma Sida i Sin, nic tu po mnie. Nie spijcie się za bardzo! – zawołał do Neda i Nel. – Bo powiem o tym waszemu ojcu.

Bliźnięta popatrzyły najpierw na niego, później na siebie, jakby próbowały ustalić, jak bardzo poważna była groźba. Natychmiast poderwały się z miejsc i ruszyły za nim.

– Szkoda, że nie udało ci się przyprowadzić Waltera – powiedziała Stina, kiedy Aisling już zniknął, ścigany przez Neda i Nel. – Dawno go nie widziałam. Jak w ogóle z nim?

– Nie za dobrze – przyznał Martin. – On po prostu... – Urwał i rozejrzał się, upewniając, że pozostali koledzy z roku go nie usłyszają.

Gus wciąż flirtował z Lottą, wytrwale ignorującą jego awanse. Nel i Ned cały czas próbowali przebłagać Aislinga. Jo, Ana i Freddie rozmawiały cicho, czekając na Victora, który najwyraźniej poszedł do toalety.

Zaczął szeptem opowiadać o tym, co go niepokoiło. O tym, jak bardzo Walter był zamknięty w sobie i wy-

cofany. O tym, jak nazwał swoją lalkę. O ranie na jego ręce, niemającej nawet szansy się porządnie zagoić przy tylu godzinach treningów z marionetką. – I do tego jak tylko mamy wolne, on cały czas siedzi i wpatruje się w ten okropny czerwony bluszcz za oknem – zakończył. – Jakby na coś czekał.

– Wpatruje się w okno, mówisz? – mruknęła Stina. – To niedobrze.

– Hmm? – rzucił roztargniony Martin.

– Też miałam kiedyś kumpla, który spędzał całe dnie, wpatrując się w czerwone liście za oknem.

– I co się z nim stało?

– Och, nic. Okazał się być zaledwie Królem Demonów. Król Demonów.

Martin próbował pozbierać sobie w głowie wszystko, co przez wakacje wspominano na jego temat. Opowieści Greema i Canelle. Historie o strachu na wróble, który zdołał zdobyć kontrolę nad wszystkimi demonami drugiej strony i zaatakował granicę między dwoma światami. Co jakiś czas powracał i zostawał odepchnięty. Ostatni raz uderzył pięć lat temu i wtedy walczył z Po-dróżnym. Nie wiadomo, co się z nim stało. Mortimer zniknął z Obrzeży, zaś Stina...

Stina miała kumpla, który okazał się być Królem Demonów? Zgodnie ze słowami Canelle, barmanka z Knajpy Morderców była jedynym świadkiem tego, co wydarzyło się pięć lat temu. Czyżby właśnie zupełnie niechcący uchyliła rąbka tajemnicy? Zanim zdążył zadać jakiekolwiek pytanie, reflektor na scenie rozbłysnął.

– Występujesz dzisiaj? – zdziwił się Martin. Stina jak zwykle miała na sobie gorset i krótką sukienkę, nie były jednak tak efektowne jak jej dotychczasowe sceniczne kostiumy. Nie miała też wstążek we włosach – po prostu związała je w niechlujny warkocz.

– Nie, dzisiaj nie – odparła. – Nie mogę cały czas występować bez Sida i Sin. Raz na jakiś czas – w porządku, ale nie co wieczór! Klienci zaczynają się nudzić. Całe szczęście, że zgłosiło się zastępstwo. – Wzruszyła ramionami. – Wędrowni artyści. Bardzo się upierali, że chcą, a publika domaga się zabawy, więc... czemu nie?

Martin pokiwał głową ze zrozumieniem. Podążył wzrokiem za jej dłonią i dostrzegł siedzącą pod sceną nad wyraz oryginalną zbieraninę. Przypominali bardziej grupę cyrkową niż muzyków. Podarte i sfatygowane stroje z barwionych ręcznie tkanin zamiatały podłogę przy każdym ruchu, płaszcze z pozszywanych pasów materiału mieniły się feerią barw i szeleściły poprzyszywanymi wszędzie kolorowymi piórami. Niektórzy pomalowali czoła i policzki kolorowymi farbami. Jedna z dziewcząt miała nawet intensywnie różowe włosy.

– Ci wędrowni muzycy... Co to za jedni? – zapytał, marszcząc brwi. – Wyglądają trochę jak banda obszarpańców.

Kelnerka ukryła twarz w dłoniach.

– Matko, ale przypał! Ale to będzie przypał! Dlaczego ja się na to zgodziłam?! Nie chcę na to patrzeć! – mruzczała, zasłaniając oczy i uszy.

– Ej, spokojnie – powiedział Martin. Przechylił się, żeby lekko poklepać ją po ramieniu. – Nie jest tak źle.

Wędrowni muzykanci, którym Stina zezwoliła na występ, byli chyba czymś w rodzaju wędrownego chóru gospel. Klaskali, uśmiechali się i śpiewali razem o jakimś Panu Pieśni, który jest ich wybawicielem, a oni jego ptakami. Martin nie należał do fanów tego typu muzyki, musiał jednak przyznać, że zarażali entuzjazmem. Byli weseli. Szczerzy. Autentyczni. Zazwyczaj lubił i doceniał wszystko, co było szczere i autentyczne, więc siłą rzeczy nie potrafił być specjalnie krytyczny. Spostrzegł, że Frederika co chwila przerywa rozmowę z Jo i z Aną i wpatruje się w śpiewających tęsknym wzrokiem.

– Stina. – Drgnął, gdy usłyszał głos Nel. Nie zauważył nawet, kiedy bliźnięta znów pojawiły się przy barze. Obydwoje bladzi i bardzo nieswoi. – Jest taka sprawa.

– No? – zapytała barmanka.

– Chodzi o to, że...

– Nie powinnaś tu więcej zapraszać tych ludzi – powiedział Ned. – Nie powinnaś pozwolić im tutaj śpiewać. To nie jest dobry pomysł.

– Ale... – dziewczyna zmarszczyła brwi – dlaczego?

– Po prostu – upierała się Nel. – Zaufaj mi. W ich muzyce jest coś... coś dziwnego. Coś jest nie tak.

– Ale to tylko jacyś nieszkodliwi wariaci. – Martin wzruszył ramionami. – Śpiewają o jakimś swoim bóstwie, niech sobie śpiewają.

– Niby tak – powiedział cicho Ned. – Tylko tym razem tym bóstwem jest Król Demonów.

Paradoks marionetki: Sprawa Zegarmistrza
Copyright © Anna Karnicka
Copyright © Wydawnictwo Genius Creations
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak
Copyright © for the cover art by Bernadeta Leśniowska-Gustyn
Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.
Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2018 r.

druk ISBN 978-83-7995-146-8
epub ISBN 978-83-7995-147-5
mobi ISBN 978-83-7995-148-2

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski
Redakcja: Dawid Wiktorski
Korekta: Marta Kładź-Kocot
Skład, typografia i digitalizacja: proAutor.pl
Ilustracja na okładce: Bernadeta Leśniowska-Gustyn
Projekt okładki: Marcin A. Dobkowski

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak
ul. Kormoranów 126/31
85-453 Bydgoszcz
sekretariat@geniuscreations.pl
www.geniuscreations.pl

Książka najtaniej dostępna w księgarniach
www.MadBooks.pl
www.eBook.MadBooks.pl